NUMER JUBILEUSZOWY

ŁOWCA WIELKOPOLSKIEGO

Poznań, dnia 1-go Listopada 1907.

PIERWSZA ROCZNICA.



Dnia 31 października z. r. zawiązane zostało w Poznaniu „Towarzystwo Łowieckie". Rok jeden to nie wielka przestrzeń czasu dla towarzystwa, które powstało z małych zacztków, a siły swoje przeważnie na organizacyą zużytkować było zniewolone. Nie wiele też zaznaczyć może pożytecznego w okresie wytkniętego programu: Wskrzesiło „Łowca Wielkopolskiego" i to wszystko!

Towarzystwo nasze oprócz łowieckiego, wytknęło sobie inne jeszcze zadanie. Mimo usilnych zabiegów wydziału i ofiarności kilku członków Towarzystwa, nie postąpiliśmy ani kroku w tym drugim, nie mniej ważnym celu Towarzystwa, t. j. ażeby przez urządzenie lokalu klubowego, przez zebrania i zabawy towarzyskie postarać się o łączność pomiędzy inteligencyą miejską i wiejską.

Klub taki miałby wysokie znaczenie kulturalne, zgromadziłby na tle łowiectwa zdrowe pierwiastki społeczeństwa, i dałby im sposobność, po ciężkiej pracy zawodowej, wśród swoich chwilę wytchnienia, wesołości, chwilę niekosztownej zabawy bez namiętności hazardu. — „Nie jest koniecznym", tak stoji w naszym programie — „aby każdy przystępujący do Towarzystwa Łowiec-

kiego posiadał własność ziemską lub też własne polowanie, wystarczy zupełnie, jeżeli celom Towarzystwa jest przychylny.« Takie żywioły przychylne ideji tej, pragnie klub nasz skupić około siebie.

Niestety brak solidarności, brak zrozumienia chwili przełomowej, w której żyjemy, powoduje wybitnych u nas mężów do łączenia się z obcymi nam Jagd- i Tekel klubami, a stronienia od swoich.

Wobec takiego braku spójni, koniecznej wszystkiej inteligencyi, wszystkicn mężów, na których liczyliśmy pomoc, wobec rozdrobnienia sił, które i tak nie są zbyt żywotne, towarzystwo nie mogło nic zdziałać na tym najpotrzebniejszym u nas polu pracy, nie zdziałali i ci nic, którzy poza obrębem Towarzystwa łowieckiego pokrewne nam uprawiali cele.

Ramię do ramienia! oto hasło, które w tej chwili t. j. rocznicy założenia wydajemy do wszystkich łowców, do wszystkich mężów, którym ideały nasze są drogie, którym nietylko łowiectwo owa dziś tak ważna w dziedzinie postępu gałęź ekonomiczna i kulturalna, ale i łączność towarzystwa, w dobrze zrozumianym interesie społeczeństwa leży na sercu.

Niechaj się gromadzą pod naszym sztandarem, abyśmy wzrośli w siły liczebne i materjalne, a w następną rocznicę na własnym progu powitać ich mogli.

Wydział Towarzystwa Łowieckiego w Poznaniu.

Władysław Janta-Połczyński — Redgoszcz.
Prezes.

Hr. Gorzeński — Ostroróg-Tarce,
Zastępca prezesa.

Zygmunt Pluciński — Fiałkowo,
Bibliotekarz.

Antoni Unrug — Piotrowo,
Łowczy.

I. Koperski — Poznań,
Sekretarz.

Do Towarzystwa przystąpili:

Brownsford Kazimierz — Poznań, Dr. B. Brodnicki — W. Kołuda, W. Brodnicki, — Poznań, Dr. W. Celichowski — Poznań, Jan Chłapowski — Goździchowo, Alfied Chłapowski — Bonikowo, Dr. I. Chrzanowski — Poznań, Franciszek Czapski — Bardo, Dr. Z. Celichowski — Kórnik, J. Chłapowski — Rzegocin, W. Chełmicki — Zakrzewo, hr. Mieczysław Dąbski — Poznań, ks. prob. Gładysz — Komorniki, W. Krzywoszyński — Środa, K. Koehler — Poznań, Komendziński — Poznań, Stefan hrabia Kwilecki — Jankowice, Dr. R. Lewandowski -- Kłony, Stanisław Milewski — Kijewo, Roman Pleciński — Wierzchocin, I. Pleciński — Bógwidze, Leon Pluciński — Swadzim, Zygmunt Pluciński — Lussówko, I. Przybyszewski — Giżewo, Ponikiewski — Brylewo, Wacław Pluciński — Trzebaw, Teofil Janta-Połczyński — Nieżychowo, Leon Janta-Połczyński — Wysoka, Napoleon Rutkowski — Ławica, St. Stablewski — Ślachcin, Artur Szenic — Korzkwy, książe Sułkowski — Rydzyna, St. Szubert — Rogalin, Władysław Sczaniecki — Łaszczyn, Michał Sczaniecki — Nawra, Skrzydlewski — Mełpin, Zygmunt Stablewski — Dąbrówka, Antoni Trąmpczyński — Waliszewo, Zdzisław Taczanowski — Podrzecze, Antoni Unrug — Piotrowo, E. Żółtowski — Myszkowo.

Z ogarami.

Wspomnienie z dawnych lat.

Opowiedział **St. Janta-Połczyński.**



Polowałeś już kiedy z ogarami młody przyjacielu? nie jeszcze! — tak — tak wierzę — trudno teraz o sposobność do tego, trudno o psy takie, a przedewszystkiem o owe nieprzebyte knieje, w którychby zgraje zapuścić można. To o czem Ci zamyślam opowiedzieć działo się dawno — bardzo dawno, z górą kopę lat naliczyłbym może. Ale wspomnienia te nie zatarła przestrzeń lat i przesuwają się one przedemną, jakobym je przebył wczoraj i w uszach brzmi mi jeszcze muzyka niezrównana grających ogarów i głos starej trąbki mojej.

Kto raz z ogarami polował, nie zapomni tego nigdy a cóż dopiero ja, com z fuzyą w ręku za pieskami mojemi w obszernych lasach tucholskiej puszczy całą spędził młodość. Chętnie więc o czasach tych i łowach ówczesnych gwarzę, jak stary furman — co choć czasem z bata wypali, gdy już pojeżdżać nie może. Czytałem w »Łowcu«, iż stary strzelec Gorajski opowiadał, iż p. Roch Drwęski dwa dni przed śmiercią kazał się wozić po lesie leżąc już na materacu, aby raz jeszcze usłyszeć głosy goniących swoich ogarów; i mnie podobna chwila wspomnień łzy wyciska z oczu, kiedy sędziwy mój ojciec utraciwszy wzrok, kazał się prowadzić do knieji, aby raz jeszcze posłyszeć granie ogarów.

Zaledwie zajechaliśmy do knieji psy ruszyły zaraz starego szczuwanego gacha, co ojciec mój też po głosie ogarów niebawem zauważył. Psy ujadały to bliżej to dalej, głos ich nikł prawie, to znów lekki powiew wiatru nam go przynosił. Brzmiało to jakby szedł do nas akord olbrzymich organów gdzieś z dalekiej świątyni pańskiej, to znów jakoby tam po skończonym dzwoniono nabożeństwie. Głos ten potężniał coraz to bliżej i bliżej, już ujadanie każdego psa odróżnić było można.

»Uważaj chłopcze bo zaraz tu będzie« szepnął za mną stojący starzec. Padł strzał...

»A co jest?« zapytał. — Grobowa cisza, — psy ucięły.

»Tak, jest — jest, psy dobiegły, — przynieś go chłopcze. . . . . Wziął kota do ręki i drżącemi go obmacywał rękoma a psy skakały radośnie. — Obrazy takie, przyjacielu młody! — nie znikną z pamięci twej nigdy! a dzisiejsze Wasze łowy, Wasze nagonki, kotły, strajfy i inne niemieckie wymysły nieraz z dziewkami obsługiwane, jakżesz one wobec tego marne i śmieszne.

Wybacz staremu, — marudzi — jak zwyczajnie stary.

Ale idźmy porządkiem, wszakżesz mam mówić o ogarach. Ogar to pies wielkości średniego wyżła, koloru czarnego, brązowego, lub żółtego — silnej budowy, długie wiszące uszy, ogon długi wyprężony, sierć krótka jednego koloru, budowa

zresztą mocno do jamnika zbliżona. Tresury nie przyjmuje, jest dziki i żarłoczny, do pana swego mało przywiązany i ceni go o tyle tylko, o ile zażywa u niego wolności i polowania. Wiatr ma znakomity, za zwierzyną goni cwałem przyczem ciągle ujada, ale nie zwyczajnem szczekaniem jak je słyszymy codziennie u ujadających kondli — ale głosem miękim i przeciągłym, co w knieji brzmi jak dzwonienie w akord dobranych dzwonów. — A dobiera się głosy psów jednej sfory, jakoby głosy dzwonów do jednej dzwonnicy lub głosy śpiewaków do jednego chóru. — To też amator polowania tego znajduje już rozkosz w samym ich głosie — w samym tym niezrównanym śpiewie, który się odbywa w największym i najwspanialszym tumie przyrody.

Skoro tylko zwierza ruszą, krzyczą, jakby je kto najbardziej batogiem karał i to tak długo jak go widzą. Podobnie jak u wyżła z postawy poznać można jaką zwierzynę wytropił i wystawił, tak i u psów gończych rozróżnić można po głosie jakiego zwierza na oko wzięły, czy zająca, lisa lub sarnę, na każdy bowiem gatunek zwierzyny mają odrębne głoszenie.

Skoro je ze swory spuszczą, rozbiegają się po knieji zwierza szukać; który pies go najprzód wypłoszy, krzyknie na gwałt i bieży tropem a towarzysze jego przypadną, złączą się z nim po bokach w jeden bieg wspólny. I idzie gonitwa tym porządkiem czas długi, dopóki ścigany zwierz nie zakluczkuje w prawą lub lewą stronę — wówczas środkowy straciwszy trop, przycicha, a boczny podejmie jego miejsce i jazda bez przerwy idzie tym porządkiem, aż myśliwy, który znając przesmyki zwierza nie zabiegnie i strzałem końca gonitwie nie położy.

Pochodzię z rodziny, która od lat niepamiętnych z namiętnością oddawała się myślistwu a ja może przewyższałem jeszcze pod tym względem przodków moich. Wróciwszy ze szkół zamieszkałem przy bracie w Dąbrówce, ale gospodarstwo nie było mi jeszcze w głowie i używałem swobody w całej pełni, wszystek czas poświęcając łowiectwu. Kilkanaście tysięcy mórg lasu bliższych i dalszych krewnych stały wówczas dla mnie otworem. Czytając różne przygody myśliwych z puszcz amerykańskich i mając nimi młodą głowę nabitą, postanowiłem jak tamci koczowniczego skosztować życia, żyjąc z tego co upoluję. Zdarzało się więc, iż kilka dob nie widziano mnie pod własnym dachem. W nocy łowiłem ryby, we dnie polowałem, to też nie jedna noc zastała mnie przy ognisku pod gołem niebem nad rzeką Brdą, pilnującego tamże zastawionych sieci.

Czarowne to były noce i nie zatarte pozostały z nich wrażenia. Ogień płonął, skromną przygotując dla mnie i psów moich wieczerzę, cisza w około, nietoperz tylko światłem znęcony uwijał się z ciekawością około mojej głowy, z daleka słychać było szczekanie lisów i huczenie puszczyka.

Wyżeł leżał »w koszyku« u nóg moich a ogary zesworowane spoczywały przy ognisku czekając za odprawą.

A zgraja gończych moich składała się z przednich i szlachetnych bardzo; pochodziły one od księcia Sanguszki z Galicyi, były to dwa psy: Zagraj i Trębacz i suka niezwykle ścigła »Śpiewka«. Rozkosz była słyszeć, gdy te zapuściło się do knieji.

Ale od rana było zwykle inne zajęcie, trzeba było obejść 500 sideł założonych na drozdy.

Czas był, gdy zdarzenia te opisuję piękny — słońce weszło pogodnie i ozłociło korony drzew, pajęczyna obielała najwyższe wierzchołki, rosa kryształowa na każdem igliwiu i trawce. Oddychało się żywicą przepełnionym lasem pełną piersią, lekko i rozkosznie. To nie myśliwy, kto wszystkiej tej rozkoszy nie odczuwa. Już kilka złowionych ptasząt wisiało u torby, — gdy nagle u jednego sidła spostrzegam tylko główkę, ptaka nie było — to samo u 3—4 i 10 sidła. Pod drzewem znać jakieś tropy po rosie, wyżeł mój spęchiwał za nimi z uwagą. Począłem bacznie rozglądać się w okolicy za psotnikiem a w tem zamajaczyło coś czerwonego w oddali — mogło być na 300 kroków.

Szkieł różnorodnych jak dzisiaj dla użytku myśliwych jeszcze nie było — ale oczy moje widziały wówczas tak dokładnie jak najlepszy binokiel optyka.

Zauważyłem więc też zaraz lisa, który dziwaczne odprawiał praktyki.

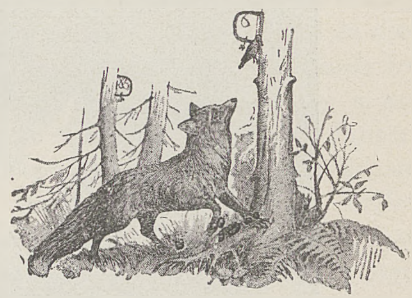
W hojce 3 łokcie od ziemi, w pałąku wisiał usidlony kwiczoł. Winogrona te wszakżesz rosły mu za wysoko — bo coraz to odstępował na kilkanaście kroków jak linoskok co bierze zapęd, i jak wiewiorka pogładkim sunął drzewie. Manewr ten nie udawał mu się początkowo.

Raz drugi i trzeci w powietrzu tylko siekał białymi kłami, aż wreszcie znów łepek tylko zakołysał się na opróżnionej pętlicy. Tej śmiałości było mi wszakże zawiele.

Wróciłem się po uwiązane u nocnego legowiska ogary.

Przywitały mnie radośnie skowycząc.

Zesworowane przyprowadziłem na trop lisi: tu, tu Zagraj — tu, tu — Śpiewka — i jak wyrzucona z cienciwy strzała sunęły po świeżym tropie. Pierwsza odezwała się dyskantem – Śpiewka, za nią altem Zagraj, któremu już bezzwłocznie głębokim basem zawtorował Trębacz. Z początku szło to jakby od niechcenia, jakby próbowały nóg i głosu, później wszakżesz co raz to głośniej,



co raz to »żarliwiej« tak, że nie było wątpliwości, iż na właściwym znajdują się tropie. Nareszcie dopadły go bliżej, pędzą na oko — słyszę gwałtowny krzyk Śpiewki aj! aj! aj! daje mu obrot widocznie, muzyka się zbliża. Przesmyk tylko wązki w gęstych hojarach — ale z daleka widzę coś błyska jak czerwona smuga — za chwilę musi być na przesmyku — fuzya przy twarzy — palec na cynglu. Czekam w tej pozycyi minutę — drugą — trzecią — zdaje mi się wieczność — nic nie wychodzi.

Widocznie zakluczkował przed duktem i na bok uskoczył. Spuściłem fuzyą. — W tem jakby raca ognista — jeden skok i znikł w przeciwnej ścianie zieleni. — Oszukał mnie niecnota! — Nie darmo łotr ćwiczył się w tej gimnastyce przy moich kwiczołach. W krótce przebiegły przesmyk i psy, za odnalezio-

nym tropem, gonitwa szła dalej zwykłym porządkiem — gdzieś w odległe rewiry. Miałem teraz czasu dosyć do rozmyślania nad fortelem lisa i niefortunnem mojem zachowaniem. gonitwy; że tym samym przesmykiem wracać będą wiedziałem na pewno. — Stary to zwyczaj zwierzyny wszelkiej przed psami gończymi tym samym wracać tropem — przytem dla zmy-



Zabiłem już niejednego lisa przed pieskami moimi, ale żeby przed nimi w gonitwie na przesmyku zwarował, nie zdarzyło się jeszcze nigdy.

Godzina minęła blisko nim doleciał mnie znów odgłos powracającej lenia pogoni kluczkuje ona coraz częściej; a cóż dopiero gracz tak wytrawny jak moje lisisko. Co chwila też słychać było jak psy urywając, za tropem zławiały tylko lub zacierały zupełnie, miałem się więc na

baczności — oczy chodziły mi jak wahadło u zegara — w prawo — w lewo, w prawo w lewo; mysz przechodząca nie byłaby uszła mojej uwagi.

Znów coś zabłysło między hojarami — a więc baczność! fuzja do twarzy. — I tym razem lis manewr powtórzył z tą samą dokładnością.

Trzymał już z Was kto fuzją trzy minuty w przykładzie? pewno nie! Naprzód nie łatwo myśli skupić na wyczekiwany przedmiot tak długo, a potem ręka mdleje od wytężenia. W pozycyi takiej stojąc zdawało mi się, iż przebywam wieczność; — gdy w tem błysk i czerwona wstęga zajaśniała na wąskiej przestrzeni ale za nią zahuczały dwa strzały prawie jednocześnie. Tak byłem zawzięty, iż za obydwa ruszyłem cyngle. — Biegnę na postrzał, — lisa ani śladu, — zaledwie farby trochę. Ogary przybiegły i znów gonitwa szła w stronę przeciwną. Fatalność! znów może godzina bezużytecznego czekania. Ale inaczej się stało, — nie minął pacierz dobry, gdy odezwała się zwykłym aj! aj! na oko goniąca Spiewka. Wiedziałem, że to dobry znak, finał powinien był nastąpić lada moment; gdy w tem jakby na komendę razem psy ucięły — wszystko ucichło. — Byłem pewien, iż lis uszedł do jamy. Biegnę więc pieskom moim na pomoc — ale już drąc się przez gąszcze; po dziwnem ujadaniu, raz jednego, to znów drugiego z ogarów zauważyłem, że inna musiała być przyczyna zaprzestania gonitwy — iż działy się tam niezwykłe rzeczy. I tak też było. — Przedarłszy się przez ostatnie zarośla, naraz niezwykły przedstawił mi się widok. — Było to już nad samą Brdą, — rzeka ta znaczna, płynie rwiącym prądem; nad samym jej brzegiem ujrzałem starą pochyłą wierzbę, — silne konary jakoby ramiona rozłożyła na wszystkie strony, jedną potężną odnogę wyłożyła na samą rzekę nad jej bystrymi nurtami. — Na tej odnodze siedział mój lis linoskok; trzeba było na prawdę nie małej zręczności, aby się dostać na tę wyniosłą kazalnicę.

A więc nemezis jednak doścignęła psotnika! psy skakały teraz do niego jak on przed godziną do moich kwiczołów. Był to interesujący a zarazem pocieszny widok. Śpiewka najwięcej zażarta usiłowała wdrapać się na drzewo. Zagraj i Trębacz z łbami wzniesionymi, z ozorami wywieszonymi, zapatrzeni jak w tęczę a lis z siercią najeżoną wachlując potężną kitą — białe wyszczerzał kły. Śpiewka ostatnie robiła wysiłki wdrapania się na drzewo. — Bież Śpiewka, bież! zawołałem dla zachęty — jeszcze jeden potężny skok i przedniemi nogami zaczepiła gałęzi — jeszcze jedno wytężenie tylnych nóg i znalazła się wreszcie na rozparze, oko w oko z rabusiem.

Co dalej działo się, trudno opowiedzieć; pomiędzy rozsochami zrobił się jeden kłęb — potem runęło to wszystko nadół do Brdy. Trębacz i Zagraj skoczyli za onym kłębem i zakotłowało to wszystko razem w nurtach spienionej rzeki. W chwilę potem pieski moje na rozkładzie zasłużoną odebrały odprawę za zdobytego z takim mozołem lisa.

W obronie św. Huberta.



Niewiem czy tylko moje ucho razi pozdrowienie myśliwskie używane obecnie »z pozdrowieniem św. Huberta«; a już niewiem doprawdy z jakiej przyczyny Hubert patronem myśliwstwa mianowanym został. — O ile mi wiadomo z kronik i tradycyi, książę Hubert polował o każdej porze i na wszelkiego zwierza. Szczuł więc i bił oszczepem i kuszą kotne kozy, łanie, łosie — ściągał strzałą ptaki od młodych — siecią nakrywał na gniazdach — »nie darował życia żadnemu zwierzęciu.« Żeby Hubert był strzelcem najętym »na strzałowe« lub »od sztuki« mógłbym mu wreszcie jego instynkta zwierzobójcze, również niezrozumienie prawidłowego łowiectwa wybaczyć, kładąc je na karb chciwości; ale Hubert był bardzo, bardzo możnym panem. Resumując to co w wyż pisałem o księciu Hubercie, dojść trzeba do konkluzyi, że całe polowanie jego było łowieckim partactwem, wyrażając się bardzo oględnie. Lecz wracajmy ad rem. Gdy więc tak dalej rycerz Hubert sobie poluje, nie pomnąc na święto uroczyste »ukazuje mu się piękny biały jeleń z krzyżem między rosochami, od którego dochodzą go następujące słowa: »jeżeli się szczerze nie nawrócisz, pójdziesz od razu do piekła.«

Co się dzieje, łowiec H. traci zimną krew, wraca do domu olśniony niezwykłem zjawiskiem. Jako człowiek owych czasów, więc zabobonny, a może i trzeźwo patrzący, widzi w owym jeleniu znak wyższy i przestrogę: »quosque tandem będziesz dla moich stworzeń tępicielem?« Zamiast się poprawić, polować nadal, ale prawidłowo, zakładać remizy i zwierzyńce i t. p. dobre czynić uczynki, rycerz Hubert traci na fantazyi, ślubuje nie brać więcej do ręki kuszy, ni oszczepu, wiesza lub rozdaje swe wierne psy i sokoły, jeśli żonaty to żegna się z pewnością ze żoną, bierze rozbrat ze światem, wstępuje do klasztoru, i koniec części pierwszej. Część druga, jakie na pustelni cuda lub dobre uczynki działał, jakie przewagi nad pogaństwem odnosił i t. p. mało nas myśliwych obchodzić mogą, ponieważ w drugim akcie już był z grona myśliwych wystąpił, więc do nich nie należał.

Mogę mieć wielką cześć do św. Huberta jako świętego, lecz łowca Huberta jako wzoru i patrona uznać nie mogę. Nie ma bodaj dzieła w polskim języku, traktującego o rzeczach łowiectwa i o rzeczach mu pokrewnych, którego bym nie przestudyował. (Przeoczyłeś Szan. Pan niektóre źródła biografii św. Huberta, o których poniżej. Przyp. Red.)

Podpadało mi zawsze, że tak mało u nas wzmianek o św. Hubercie jako patronie myśliwstwa. Również w przysłowiach polskich nie zdarzyło mi się z tym świętym spotkać. W »Łowcu« czytam też nie zawsze »z pozdrowieniem św. H.«, lecz i inne, n. p. »myśliwym cześć« co mi niestety nie-

mieckie »Waidmannsheil« bardzo przypomina. Widocznem, że ten święty niema między nami miru, nie może się u nas zaaklimatyzować.

Czyby dlatego, że nie z naszego słowiańskiego pochodzenia? Nieszłoby Huberta, jako nam obcego pominąć, albo wogóle przy pozdrawianiu dać wszystkim świętym spokój, a wybrać słowo krótsze, stósowniejsze, w rodzaju: »czołem, na zdar?«

Szeliga.

Powyższe pismo umieściliśmy jedynie, iż uwagi jak powyższa nad św. Hub. nie są odosobnione. Przeważna liczba myśliwych naszych, a niemniej i obcych je podziela. Krytykę adoracyi tego świętego uważamy wszakżeż tylko warunkowo za uzasadnioną. Przedewszystkiem należy objaśnić, iż cała historya o wypadku św. Huberta z jeleniem jest poprostu baśnią, żadną kroniką współczesną nie popartą, którą tylko Delzer w Chrześcijańskiej Ikonografji opisał. Według tejże ojciec św. Huberta był księciem Aquitanji i krewnym Pipina z Heristalu. Historja zamiłowania do »dzikich łowów« i zdarzenie z jeleniem opisuje tak samo jak p. Szeliga w powyższem piśmie, kończy zaś w sposób następujący:

Już w X stuleciu czcili myśliwi św. Huberta w całych Ardenach jako swego patrona i obchodzili święto jego (3 listopada, dzień ogłoszenia go świętym w r. 744) w którym to dniu polowania na grubą zwierzynę zwykle zaprzestano. Jest on patronem myśliwych. Ponieważ według legendy złotym kluczem uzdrawiał od ukąszenia przez psy wściekłe, — przeto w wypadkach tej choroby wodowstrętu wzywają jego pomocy.«

Pisarz więc ten o wszystkich tych zdarzeniach wspomina jedynie jako o legendzie.

I rzeczywiście jest historyczną pewnością, że św. Hubert nie był księciem świeckim, ani Herzogiem Aquitanji. Jakiego był pochodzenia, niewiadomo zupełnie, tyle tylko jest pewnem, że był żonatym i że jego



syn Floribert zastąpił go w godności biskupa. Curriculum vitae jego dopiero po zajęciu tronu biskupiego (patrz słownik kościoła kat. Wetzla i Weltera) staje się jednolitym i pewnym. Współczesny jego kronikarz Valencien, którego manuskrypt z r. 744 (Vita St. Huberti) W. Arndt odnalazł — nie wspomina słowem o owym cudzie z jeleniem, chociaż o innych cudach tego świętego najobszerniejsze daje relacye.

Niema więc najmniejszej podstawy do twierdzenia, iż w rzeczywistości polował, a jeżeli polował to przypuścić należy, prawidłowo, co cały żywot jego dowodzi.

Św. Hubert patronem myśliwych w połączeniu z legendą tą, najprawdopodobniej stał się w następujący sposób:

Lat 500 przedtem, a więc około roku 244 żył podobnie jak Szaweł, zawzięty prześladowca chrześcijanizmu, poganin Placidus; temuż ukazał się również jeleń na polowaniu z promieniejącym krzyżem pomiędzy rosochami, który w następujące odezwał się słowa:

»Placidus, dla czego polujesz na mnie? Uwierz we mnie, jestem Chrystus i dawno na ciebie polowałem. Idź do biskupa Chrześcijan i daj się ochrzcić; albowiem gdy będziesz dawał jałmużnę i świadczył miłosierdzie, i ja będę dla ciebie miłosiernym.« (Detzer-Ikonografia).

Ów Placidus podobnie jak Szaweł zjawiskiem tem skruszony, nawrócił się i został świętym pod nazwiskiem Eustachiusza. Święto Eustachiusza obchodzono według dawnej łacińskiej martyrologji 3 listopada, a więc również w dzień św. Huberta.

I jego przedstawiają na dawnych współczesnych z św. Hub. obrazach z jeleniem i krzyżem pomiędzy rosochami. Na dowód podajemy jeden z nich, który żywo przypomina legendę teraźniejszego patrona myśliwych.

Łatwo z tego wywnioskować, iż dwaj ci święci są analogiczni i powstali podobnie jak mysza wieża nad Gopłem i nad Renem, z jednej legendy. Aby to zrozumieć, trzeba znać okolicę Ardenów, gdzie św. Hubert przebywał, założył klasztor, i gdzie ostatecznie jego relikwie spoczywały. Już za czasów rzymskich okolica ta słynęła z dzikości i obfitości zwierza wszelkiego, ze znakomitych łowów; wszakżeż bogini łowiectwa Diana nosiła w Rzymie od gór tych przydomek Arduenna, ztąd też myt pogańskiej Dyany w Ardenach był nadzwyczaj rozpowszechniony, a był nim tak samo jak u nas za czasów Mieczysława i Dąbrówki bożek Radogast i Dziewonia, którym nasi łowcy pogańscy składali z wszelkiego zwierza ofiary.

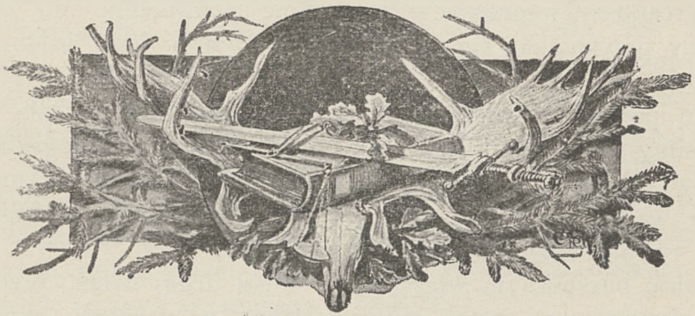
Nic więc dziwnego, iż władza kościelna doszedłszy tam do znaczenia, starała się kult ten wytępić i chrześcijańskim zastąpić. Pod tym względem szczególnie się właśnie odznaczył św. Hubert — zakładając klasztor, który też imię jego nosił.

Po śmierci i kanonizowaniu św. Hub. leżało oczywiście w interesie ówczesnych mnichów klasztoru, znaczenie świętego tego o ile możności podnieść jaknajwyżej, a jakżeż można było lepiej i skuteczniej, jak mianując go patronem myśliwych w kraju, gdzie myślistwo było we wysokim znaczeniu i gdzie ofiary dla klasztoru, składały się przeważnie ze zwierzyny.

To też zdaje się nie podlegać żadnej wątpliwości, iż legendę o jeleniu z promienistym krzyżem wymyślił, a raczej znając historyą Placidusa, odnowił jaki kwestarz w guście kapucyna »z Wallensteins Lager« — Schillera, który podobnie jak tenże: »contenti estote« każąc poprawę i skruchę — każe jeleniowi przemówić, »jeżeli się szczerze nie nawrócisz, pójdziesz wnet do piekła.«

Już gruba i rubaszna forma owego napomnienia świadczy o pochodzeniu i niezręcznym fabrykacie tej legendy. Potrzeba tylko porównać z łagodnem i ojcowskiem napomnieniem, ż jakim się odzywa jeleń Placidusa, aby dojść do przekonania, iż to sztuczna robota. Św. Hubert został więc patronem myśliwstwa nie marząc o tem zaszczycie, a został nim, bo tak się podobało i było z tem dobrze mnichom w Ardenach. Myśliwi też potrzebowali patrona, i tak obydwom stronom stało się zadość!

Bądź jak bądź św. Hubert położył wielkie dla chrześcijaństwa zasługi tępiąc pogański kult Diany, a jeżeli myśliwi obrali go swym patronem, to trzeba się z tem liczyć; jest to uświęcone zwyczajem, który przetrwał wieki całe. Odrzućmy więc tylko ową niefortunną legendę, a postać św. Huberta będzie czysta i wzniosła i nic nam nie przeszkodzi, nawet poczucie prawidłowego łowiectwa nie stanie na zawadzie oddania mu przynależnej cześci. Polacy czcili oddawna św. Huberta — (krótka oferta dla św. Huberta mówi Mickiewicz) — ale czczą go nawet i dzisiaj jeszcze, czego dowód ołtarz św. H. fundowany świeżo dla nowo budującego się kościoła Zbawiciela przez myśliwych w Warszawie.

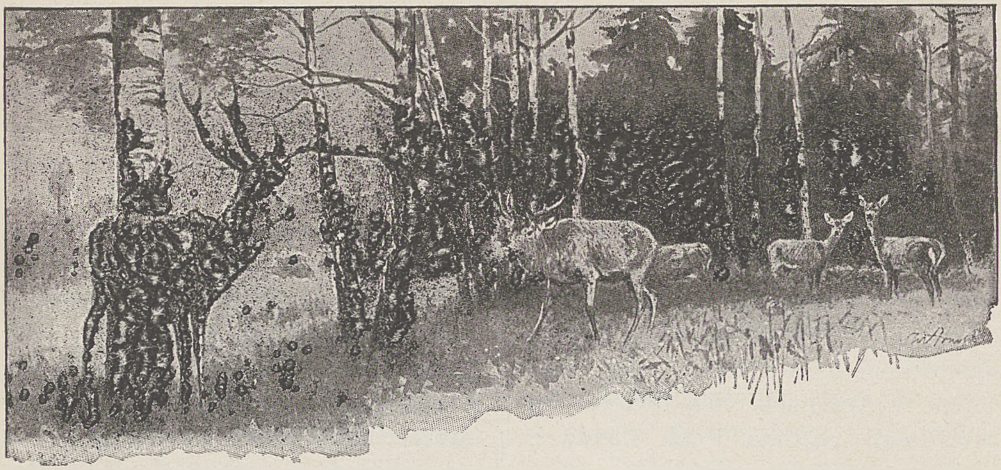


Na rykowisku (bekowisku).

Dla tych, którzy posiadają rewiry ze stałym pobytem jeleni, nadszedł w początku października czas najszlachetniejszego polowania t. j. na podchodne bekającego jelenia. W kniejach łowieckich nastąpiła w tygodniach ostatnich znaczna zmiana.

Silne jelenie przyłączyły się do swoich chmar a w zachowaniu się tej szlachetnej zwierzyny nastąpiło silne zaniepokojenie. Rogacz i łania po obfitej letniej paszy znajdują się w całej pełni swej siły; w niedostępnych gąszczach kryjący się jeleń główny, którego ślady zaledwie spotkać było można, udaje się teraz z całą chmarą na żer i pozostaje stale przy łaniach. Słabe jelenie, które dotychczas gromadnie występowały, biegają niespokojnie po kniei, szukając oblubienic, gdyż silny rogacz nieznosi ich w swoim pobliżu.

Chwilowo jest jeszcze cisza i spokój w rewirze, aż nagle pewnego cichego, a chłodnego poranku jeden rogacz rozpoczyna bekowisko; na to, odpowiadają drugie i w krótkim czasie, przyjąwszy, iż jest odpowiednie



t. j. chłodne i spokojne powietrze, bekowisko znajduje się w pełnym bi egu.

Nie tylko dla myśliwego lecz i dla przyjaciela przyrody nadszedł czas prawdziwej rozkoszy, wędrówki w lasy jesienne, aby przysłuchać się niezwykłemu koncertowi.

Każdego poranka i wieczora słyszy się silny i przenikliwy ryk króla lasów; dumnie i gniewliwie wzywa do walki, a główny rogacz niejednego rywala musi pokonać, zanim się stanie bezspornym właścicielem swej chmary, nad którą czuwa z pożądliwą zazdrością. Bezustannie okrąża swój harem, napędza łanie na miejsca rykowiska przyczem z małżonkami nie obchodzi się zbyt delikatnie; tę która zbyt uważnie przysłuchuje się miłosnemu głosowi rywala lub, która jest skłonną głosu tego posłuchać, nawraca silnym uderzeniem rozsochów do obowiązków małżeńskich.

Znajduje on się teraz w ciągłym i niezwykłym niepokoju; skutkiem bezustannego ryku nabrzmiało mu gardło, a pełna siła, wspaniały widok majestatycznych kształtów, czyni go w całem znaczeniu tego wyrazu królem lasów.

Chociaż nie każdy jest w możności podchodzenia rogacza z gwintówką w ręku, to wszakżeż nie trudno u znajomego nadleśniczego uzyskać pozwolenia do obserwowania w barwnym lesie jesiennym tego niezwykłego zjawiska. Pozwolenie to uzyskałem też z całą uprzejmością i po odebraniu telegraficznej wiadomości, iż rykowisko jest w pełnym biegu, przybyłem wieczorem do leśnictwa.

Na drugi dzień, przed wschodem słońca w zupełnej ciemności rozpoczynamy nasz pochód; zimno przejmujące, ale żwawy krok rozgrzewa krew w żyłach i w krótce okala nas knieja ponura, milcząca. W koło głęboka cisza, ręka uzbrojona kijem szuka w ciemnicy ścieżki, aby nie upaść przez korzeń i kamień. Dopiero po dłuższej wędrówce wyszedłszy na obszerną łąkę, spostrzegamy, iż świt; ciemność nocna ustąpiła szarej jutrzence, śmielej więc już postępujemy w kierunku rykowiska, które leży po drugiej stronie polany, w znacznej jeszcze od nas odległości: Nagle stajemy jak wryci; wśród głębokiej ciszy dochodzi nas niezwykły pomrukliwy głos i gdy właśnie zamierzałem

co do niego cichą do towarzysza mego zrobić uwagę, poruszony zostałem gwałtownym i donośnym, z pełnej piersi pochodzącym rykiem, który całą atmosferę w koło nas wprowadził w wibracyą. Wszystko w koło nas stoi jakoby w osłupieniu, las sam zdaje się wsłuchiwać w potężne tony, żaden listek się nie rusza, tylko nad moczarami unoszą się jakby duchy białe, całuny mgły, zakrywając miejsce skąd te poryki dochodziły.

W tem nagle z naprzeciw położonego lasu z równą potęgą zabrzmiała odpowiedź; pospiesznie a ostrożnie posuwamy się naprzód, aby zawczasu wielką gołaźnią leśną, miejsce rykowiska osięgnąć; kierunek wiatru obserwując, ukrywamy się za gęstem krzakiem z poza którego dokładnie postój całej chmary przejrzeć można. Wszystko okryte mgłą białą, nie widzimy nic, ale do uszów naszych dochodzi ze wszystkich stron to bliżej to dalej, szczególny koncert organów leśnych, poryk jeleni. Najgrubszym basem odzywa się miejscowy, jego: O ah! brzmi coraz gwałtowniej, tak, że dreszcz nas przechodzi na przejmujący ten odgłos. Zbyt daleko nie jest już od nas, gdyż czasami słyszy się uderzenia rozsochów o gałęzie i konary; widzieć wszakżeż mimo rozpoczynającego się dnia, dla mgły gęstej, która wszystko osłania, niepodobno. Coraz częściej i gniewniej odzywa się ryk kapitalnego, temuż odpowiada niemniej silny głos bliżej i bliżej; zapaśnicy wzywają się do zawziętej walki. Teraz muszą się znajdować blisko siebie. Wołanie i odpowiedź następują krótko po sobie; w tem słyszeć się daje gwałtowny zgrzyt, obaj uwieńczeni rywale uderzyli na siebie, walka jest w biegu.

Na wschodzie rumieni się niebo coraz więcej, kłęby mgły, jak bałwany morskie kołyszą się w górę i na dół, nagle jaskrawy promień przebija przez te fale i jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej znika mgła a rykowisko leży przed nami w promiennem świetle słonecznem. W świetle tym kąpie się wszystko. Tysiące kropel iskrzy się jak tysiące błyszczących djamentów. Olśnieni stojemy przed tym wspaniałym obrazem, na którego tle stoją na przeciw sobie dwaj ukoronowani zapaśnicy z pochylonemi rozsochami; z wściekłością biją przednie racice ziemię a gorąca para uchodzi z ich nozdrzy. Gniewnie błyszczą ich blaski, łeb podnosi się krótko i jak błyskawica uderzają na siebie, a jak grad trzeszczą rozsochy; głowa przy głowie, prą i pchają siebie dyszący przeciwnicy w gwałtownej walce. Jakaż siła poruszeń, jakaż wspaniała gra muszkułów godna dłuta rzeźbiarza, objawia się oczom naszym.

Nagle uchylił jeden z nich kolana, ale zanim drugi zdążył uderzyć, podniósł się, cofnął kroków kilka, z gniewem kopie rozsochami ziemię, i za chwile znów zatrzeszczały wieńce pod silnym uderzeniem.

Lecz teraz pokazuje się, iż niedorówna w walce głównemu jeleniowi, krok za krokiem ustępując, potyka się o wykrot leśny; z chwili tej korzysta przeciwnik, i wykonuje straszliwy cios w słabiznę. Ugodzony drgnął konwulsyjnie i odwraca się do obrony, ale gdy mocniejszy tym natarczywiej uderza, opuszcza go dalsza chęć do zapasów, uchodzi z pola walki, ścigany już tylko zwycięzkim

rykiem swego przeciwnika. Z podniesioną głową ogłasza zwycięstwo, od którego drzy las cały. — Dumnie rozgląda się wokoło i pomału zawraca do chmary łań, które z ciekawością z wyciągniętemi szyjami wyczekiwały końca walki.

Dr. L. S.



W sprawie ubytku kuropatw.

Jak w artykułach zeszłego »Łowca« tak w całej okolicy Śremu skarżą się na brak kuropatw. Jak temu zaradzić, przyzna mi każdy myśliwy, trzeba o kuropatwy — choć nie wiele dbać — a nie pozostawiać tych pierwszych przyjaciół na Boskiej Opatrzności. Napisałem - nie wiele dbać —, bo kuropatwa należy do tych ptaków, które każdą drobnostką do miejscowości przywiązać można.

Na każdem polu powinniśmy w spokojnem miejscu przed zimą ustawić szałas z gałęzi sosnowych albo trzciny, do niego wsypać plew i nasion chwastów. Nad szałasem uwiązać zabitą wronę jako przykład odstraszający dla tej szarej gawiedzi. Jak tylko śniegi spadną, trzeba podług ilości kuropatw sypać poślednie ziarno pszenne i odchody od młockarni, w których dużo ziarn, chwastów się znajduje. — Jedną z ważniejszych przyczyn ubytku kuropatw jest nieoględne wycinanie krzewów po rowach, miedzach i nad drogami, które im najlepsze schronienie przed ich największym wrogiem, jastrzębiem, dają.

W końcu przychodzę do najżywotniejszej kwestyi, do odświeżenia krwi! Sprowadziłem przez nadleśniczego: W. H. Nitzsche (Kgl. Oberför. a D. Dresden Augsburgerstr. 46) pięć par czeskich kur, które w Styczniu wysadziłem. W tym roku padło tu 768 kuropatw, które w przeciwstawieniu 193 sztukom, ubitym w zeszłym roku, ogromnym rezultatem nazwać można. Nadmieniam, że z trzysta kur paść by jeszcze mogło.

Nie przypisuję tego rezultatu li tylko kurom wysadzonym, lecz także temu, że zeszłej, tak w mrozy

i śniegi obfitej zimy, bardzo o kuropatwy dbałem. Cześć myśliwym.

Mełpin, 6 października 1907.

W. Unrug jun.

* * *

Przedewszystkiem wyrazić muszę uznanie Sz. Redakcyi »Łowca Wielkopolskiego«, iż przez otworzenie dyskusyi poruszyła ważną kwestyę ubytku u nas kuropatw. — Żałować należy tylko bardzo, iż za mało w niej Sz. koledzy nasi udziału biorą, dopiero gdyby nadeszły sprawozdania z całego Księstwa i Prus Zachodnich, mniej więcej z wszystkich powiatów tychże, i gdyby odnośni korespondenci zechcieli do tychże dołączyć i zapatrywania swoje i doświadczenia, wówczas dopiero kwestya dałaby się jasno postawić: jest ubytek czy nie? a w dalszym rzędzie jaka tegoż przyczyna event. jakie środki zaradcze.

Przy małej u nas ciekawości do pióra panów myśliwych, wątpię bardzo czy się takie statystyczne zestawienia dadzą kiedybądź zebrać, chyba żeby towarzystwo łowieckie zaangażowało »podróżującego« w tym »artykule«. Okolicznościową rolę takiego przyjąłem na siebie i to w prawdzie z bliższej okolicy Poznania, nie należę bowiem do tych wybrańców losu, którzy posiadają własne rewiry myśliwskie. Żywię się gdzie mogę, raz więc »łaska pańska« zawiedzie mnie na północ, drugi raz na południe, a ponieważ z wycieczek tych żadnej »trofeji« którąby na ścianie powiesić można, a tym mniej odfotografować i w »Łowcu« naszym umieścić, nie przywiozłem, więc służę Sz. redakcyi czem mogę t. j. zebranymi wiadomościami.

Otóż ogólny ubytek kuropatw zaznacza się u nas bez żadnej wątpliwości, zdarzy się może, iż przy wyjątkowych okolicznościach w niektórych łowiskach rok jeden lub dwa nastąpi podwyżka w ilości zabitych kuropatw, na ogół wszakżeż jest ich coraz mniej, coraz też mniejszy dowóz na targi. Ceny coraz wyższe.

Rozmawiałem o tej kwestyi, z pewnym starszym obywatelem ziemskim, zamiłowanym myśliwym, ale i jednocześnie i starannym chodowcą. »Zalecają« — oto jego słowa, — »dla poprawienia stanu kuropatw trzy rzeczy«: 1) Odświeżenie krwi. 2) Zakładanie remiz. 3) Dobre zimowe odżywienie. Co do udowodnienia pierwszego to posługuje się zwykle argumentem, iż sprowadzili z Czech powiedzmy np. dziesięć par, a już skutek był ten, że w roku następnym zabili kilkaset kuropatw więcej. O ile mnie wiadomo, para kuropatw najwyżej 15—18 młodych w roku uchować może. Na 10 par sprowadzonych, a więc niezaaklimatyzowanych, jeżeli przyjmiemy przeciętnie po 10 młodych, to będzie przypuszczalnie 100 sztuk najwyższa liczba przychówku. Skąd tu więc pomnożenie o kilka set?! Przez krzyżowanie tj. żeby panny czeskie miały sobie poszukać zaraz na pierwszym balu wiosennym polskich małżonków i odwrotnie, żeby kawalerowie polscy mieli zaraz zagustować w kuropatwich panienkach czeskich, przez taką kombinacyą pomnożenia konsolacyi również się w jednym roku nie osięgnie. Więc chyba przez emulacyą i przykład dobry w spełnianiu funkcyi małżeńskich i macierzyńskich dany kurom miejscowym.

Szkoda, że panowie ci nie podają zaraz i sposobu w jaki się to dzieje, możeby to zachęciło wielu do naśla-

downictwa. Co do remiz i paszenia, to w obec coraz większego zamiłowania do myślistwa, w obec cen wprost wygórowanych za dzierzawy polowań, staranność o utrzymanie zwierzostanu jest coraz większa. — Mój poprzednik (lat temu 35) nie pomyślał o paszeniu kur zimową porą, chociaż zimy były sroższe od dzisiejszych, lub o remizach, przeciwnie wszystkie pola zastałem z wszelkich drzew i krzewów ogołocone, mimo to w pierwszych latach bez wysiłku — biłem 50 do 80 sztuk dziennie. Dzisiaj, mimo całodziennej bieganiny najwyższy rekord jest sztuk dwadzieścia. Kto zaś widział remizy moje porozrzucane na wszystkich polach i zna moją zabiegliwość w żywieniu a jednocześnie tępieniu wszelkich drapieżników, ten przyznać musi, iż ubytku kuropatw należy szukać u mnie w innym kierunku. Podpadającym jest, iż następuje on z postępem kultury u nas, a więc z drenowaniem, czyli zarzuceniem wszelkich rowów, dołków, burtników, i t. p. z sianiem koniczyn — zamiast starodawnych czarnych ugorów, z użyciem sztucznych nawozów, z coraz większem udoskonaleniem broni i amunicyi i jednocześnie z coraz większem rozdrobnieniem wielkiej posiadłości.

Oto najprawdopodobniejsze przyczyny ubytku kuropatw. Te kilkanaście remiz i par importowanych nie są w stanie szkodę wyrządzoną przez kulturę z równoważyć. — Dzisiejszy tj. mierny stan kuropatw pozostanie u nas na zawsze, z tym się liczyć i pogodzić należy. Zastąpić je musi bażant, który z kulturą i postępem rólniczym więcej żyje w porozumieniu«.

Oto słowa mojego łaskawego gospodarza, posłuchajmy teraz co inni na to powiedzą. *Dr. J. Ch.*



W Rydzynie, ordynacyi księcia Antoniego Sułkowskiego, odbyło się w sobotę 19 b. m. polowanie na jelenie. Polowanie było świetne. Leżało na rozkładzie: 3 dziesiątaki, 1 ósmak, 3 śpiczaki, 9 łań i 1 cielak, oprócz tego lis i rogacz. 2 dziesiątaki miały bardzo mocne wieńce.

W poniedziałek 21-go i we wtorek 22-go b. m. były tamże małe naganki w lesie.

21-go padło: 8 słonek, 7 bażantów, 4 kuropatwy, 112 zajęcy i 125 królików. — 22-go: 2 słonki, 1 cietrzew, 68 zajęcy, 29 królików i 2 lisy.

Rezultat byłby był o wiele lepszy, gdyby było więcej naganiaczy. Zające i króliki trudno było z bardzo zwartych zagajeń wypędzić. Jeszcze nigdy tyle słonek nie widziałem, co tego roku w Rydzynie. Polowaniu sprzyjała najpiękniejsza pogoda. *U. z P.*

Za redakcję odpowiedzialny Wł. Janta-Połczyński, Redgoszcz p. Rombschin.
Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.